

Rolbiecki, Waldemar

Troska o integrację nauk o nauce

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 17/1, 107-113

1972

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Waldemar Rolbiecki

TROSKA O INTEGRACJĘ NAUK O NAUCE

Prof. Bogdan Suchodolski w artykule *O podstawach polityki naukowej*¹ przeprowadził rozróżnienie między teorią nauki, historią nauki i pojętą jako dyscyplina naukowa polityką naukową, upatrując w tym rozróżnieniu warunek dalszego rozwoju i współdziałania tych trzech dyscyplin. Koncepcję tę przedstawił następnie dnia 18 sierpnia 1971 r. w referacie *Les fondements de la politique scientifique* na XIII Międzynarodowym Kongresie Historii Nauki w Moskwie (w kolokwium C1 „Nauka o nauce a historia nauki”²), gdzie wywołała wielkie zainteresowanie i nadzwyczaj żywą dyskusję. Z podobną dyskusją spotkała się ona przy innych jeszcze okazjach.

Chciałbym tu wyrazić moje powątpiewanie — że tak to określe — w pragmatyczną słuszność koncepcji prof. Suchodolskiego. Wątpię mianowicie, czy przymuszanie tej nowatorskiej i (co warto podkreślić) gustywnie uzasadnionej koncepcji klasyfikującej i systematyzującej, a w konsekwencji także organizującej ogół nauk o nauce, istotnie przyczyniłby się do pomyślnego ich rozwoju. Tego aspektu sprawy — o ile mi wiadomo — dotychczas jeszcze nie poruszono.

Jedną z trzech dyscyplin naukowych rozróżnionych przez prof. Suchodolskiego we wspomnianych tu wystąpieniach, jest teoria nauki pojmowana przez niego jako dyscyplina traktująca o istocie nauki. Tę teorię nauki identyfikuje on z wąsko pojętym naukoznawstwem, natomiast przeciwstawia — z jednej strony — historię nauki — a z drugiej — polityce naukowej pojętej jako dyscyplina naukowa. Sprzeciwia się przy tym obejmowaniu wszystkich tych trzech dyscyplin jakąś wspólną ramą, w szczególności terminem „naukoznawstwo” w jego szerszym znaczeniu, gdyż upatruje w tym niebezpieczeństwo mitologizacji i złudzeń, że mamy do czynienia ze spoiwą dyscypliną, której faktycznie nie ma. Dla swej koncepcji naukoznawstwa, czyli teorii nauki, czyli dyscypliny traktującej o istocie nauki — dyscypliny programowo ahistorycznej i strukturalistycznej — prof. Suchodolski znajduje oparcie w historii, a mianowicie w historii koncepcji i doktryn naukoznawczych: tak właśnie (z grubszą biorąc) wyobrażali sobie naukoznawstwo, czy też raczej projektowali je, jego polscy pionierzy, Florian Znaniecki oraz Maria i Stanisław Ossowsky, a także (na ogół) ich zagraniczni prekursorzy.

Otóż obawiam się, że takie ahistoryczne i strukturalistyczne naukoznawstwo obecnie nie ma już wielkich szans na to, by mogło być dyscypliną naprawdę naukową. Ignorowanie bowiem historii nauki, a zatem i dialektyki jej rozwoju, chyba nie pozwoli mu na dobre poznawanie jej istoty (cokolwiek pod terminem „istota” byśmy rozumieli), a złasz-

¹ „Zagadnienia Naukoznawstwa” 1970 nr 4 (24).

² Zob. „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1970 nr 3 s. 730.

cza nie pozwoli mu na dobre poznawanie praw rządzących współczesnym jej rozwojem. Konstruowanie naukoznawstwa bez historii nauki można by chyba przyrównać do organizowania jakiegoś studium (uczelni) ogółu nauk społecznych czy antropologicznych z wyłączeniem wszakże nauk historycznych. Co się zaś tyczy niebezpieczeństwa brania zlepku różnych dyscyplin (czy nawet zlepku fragmentów tych dyscyplin) za jedną spoiwą dyscypliną naukową, to jest ono prawie takie samo w wypadku naukoznawstwa zawierającego historię nauki, jak i w wypadku naukoznawstwa bez tej historii i przeciwstawionego jej.

Niebezpieczne złudzenie widzę zaś w twierdzeniu prof. Suchodolskiego, że takie pozbawione historii nauki naukoznawstwo czyli teoria nauki integruje się (już, lub integrować się będzie) wokół pytania „czym jest nauka?“, czyli że integruje się ono w dociekaniach owej istoty nauki. Wydaje mi się, iż (wbrew postulatam wspomnianych pionierów naukoznawstwa) to, co faktycznie robią socjologowie, psychologowie, ekonomiści, logicy-metodolodzy, statystycy i inni specjaliści, a także różni dyletanci i kompilatorzy zajmujący się nauką jako przedmiotem swych studiów i z tej racji nazywani naukoznawcami, bardzo rzadko bywa poszukiwaniem owej istoty, czyli odpowiedzi na pytanie „czym jest nauka?“, a przeważnie chodzi im o zupełnie inne i do tego jeszcze bardzo różnorakie sprawy — jak np. efektywność badań naukowych, osobnicza motywacja wyboru tematyki badawczej, wewnętrzna organizacja zespołów badawczych, metody prognozowania rozwoju nauki. Czyż to można nazwać dociekaniami istoty nauki? Dociekaniami takim zajmują się tylko niektórzy z nich — ci o zacięciu filozoficznym i to często tylko we wstępnych partiach swych dzieł. Gdyby więc o prawie do miana badań naukoznawczych miało decydować poszukiwanie istoty nauki, wtedy z naukoznawstwa należałoby wyłączyć nie tylko całą historię nauki (choć dla czego ją właśnie?!), lecz także ogromne fragmenty zakresów faktycznie dokonywanych badań socjologicznych, psychologicznych i in. nad nauką.

O ile jednak, gdy chodzi o definiowanie naukoznawstwa jako dyscypliny poszukującej istoty nauki, koncepcja prof. Suchodolskiego wydaje mi się bardzo odległa od empirycznej rzeczywistości, o tyle koncepcja odseparowania naukoznawstwa od historii nauki wydaje mi się... niebezpiecznie wiernym odzwierciedleniem tej rzeczywistości.

Chodzi o to, iż ogromna większość osób uważanych i uważających się za naukoznawców ewidentnie nie docenia pożytków z rzetelnego studiowania dziejów nauki (bądź też z odwoływania się do kompetentnej pomocy historyków nauki) dla poznawania praw rządzących obecnym jej rozwojem. Owszem, wielu z nich często sięga do historii nauki, ale nie po to, żeby czerpać z niej pouczenia, lecz po to, żeby czerpać z niej ilustracje do zdobienia swych wywodów. To ignorowanie historii nie pozwala im oglądać współczesności w niezbędnej perspektywie, nie pozwala im zatem poprawnie jej interpretować, natomiast pozwala dochodzić niejednokrotnie do „rewelacyjnych” wniosków — śmiesznych i żałosnych zarazem. Nie chodzi mi więc tylko o to, że bez historii nauki naukoznawstwo jest niepełne („...jak czegoś ćwierć albo pół”). Owszem, jest niepełne, ale nie to jest najgorsze. Chodzi mi bardziej jeszcze o to, że jest ono płaskie, kalekie jako nauka. Kalectwo to zaś nie pozwala mu należycie spełniać pewnych funkcji nauki, a zwłaszcza funkcji prognozy.

Czyż koncepcja prof. Suchodolskiego nie sankcjonuje w praktyce tego obecnego, godnego ubolewania stanu rzeczy? Czyż nie rozgrzesza z góry naukowców ignorujących historię nauki i nie pozwala im nadal traktować ją jako co najwyżej swoisty element ogólnego wykształcenia naukowcy, na równi np. z historią gospodarczą, ekonomią polityczną czy psychologią ogólną? Czyż takie przeciwstawienie historii nauki całemu naukowstwu — miast ewentualnie podnieść jej rangę jako partenera pozostałych dyscyplin naukowych — nie wyeliminowałoby jej po prostu z ich wspólnych przedsięwzięć badawczych? Czyż koncepcja ta nie rozrywa owej — mówiąc słowami samego Profesora — „dialektycznej łączności istoty i rozwoju” i nie zmniejsza wydatnie szans podejmowania racjonalnych „studiów nad nauką ukazujących jej istotę i jej historię”?

Trzecią dyscypliną wyodrębnioną przez prof. Suchodolskiego jest polityka naukowa pojęta jako tzw. nauka praktyczna i mająca szukać odpowiedzi na pytanie „co i jak czynić w zakresie organizowania nauki i stymulowania jej rozwoju dla społecznego dobra?” O tej polityce naukowej mówi prof. Suchodolski także, iż ona „dla swych dyrektyw powinna zdobywać własne uzasadnienia naukowe”, iż badania naukowe „wiąże ściśle z założeniami dotyczącymi celów i wartości, a wyrastającymi ze społecznych dążeń szerokich mas” i że „zmierza do określonego kształtowania rzeczywistości według założeń i zadań, które przyjmuje”. Również koncepcja tej dyscypliny budzi we mnie pewne wątpliwości, które pozwolę sobie tu przedstawić. Jest ich trzy.

Pierwsza dotyczy słuszności używania terminu „polityka” do oznaczenia dyscypliny naukowej.

W znaczeniu pierwotnym, podstawowym i potocznym termin ten — zarówno bez dodatkowego określenia jak i z takimi dodatkowymi określeniami jak „społeczna”, „gospodarcza”, „rolna”, „kulturalna”, „oświatowa”, „wydawnicza”, „teatralna”, „repertuarowa”, „mieszkaniowa”, itd. — oznacza pewne rodzaje (nie definiujemy ich bliżej) wpływania na wydarzenia w określonych dziedzinach³. Te rodzaje działań, tj. te polityki nie są tożsame z nauką, tj. z jakimiś dyscyplinami naukowymi, są czymś innym. Gdy słyszymy, że ktoś uprawiał złą (czy choćby nawet bardzo dobrą) politykę gospodarczą czy rolną (nie mówiąc już o polityce repertuarowej czy personalnej), to nie myślimy, iż mowa tu o uprawianiu nauki. Gdy prof. Suchodolski stwierdza, że „najbardziej dramatyczne karty w dziejach nauki zostały napisane przez protesty uczonych skierowane przeciw polityce naukowej kościoła i rządów absolutystycz-

³ Por. następujące definicje: „Polityka — ogół spraw państwowych; działalność rządu, partii itp. mogąca dotyczyć spraw wewnętrznych lub zewnętrznych państwa” (*Mały słownik języka polskiego*. Warszawa 1968 s. 595); „Polityka — sztuka rządzenia państwem” (*Wielka encyklopedia powszechna PWN*, t. 8. Warszawa 1966 s. 831); „Polityka ekonomiczna, polityka gospodarcza — działalność polegająca na określeniu celów społeczno-gospodarczych oraz ich realizacji za pomocą metod i środków wynikających z zasady racjonalnego gospodarowania” (Tamże s. 832, autor: K. Secomski); „Polityka kulturalna — celowa i zorganizowana działalność, najczęściej państwa, zmierzająca do osiągnięcia określonych skutków w zakresie twórczości kulturalnej, selekcji treści i dzieł kulturalnych przeznaczonych do rozpowszechnienia oraz ustalanie zasięgu owego rozpowszechniania” (Tamże); „Polityka społeczna, polityka socjalna — celowe oddziaływanie państwa, a także partii politycznych, związków zawodowych i innych organizacji masowych na istniejący układ stosunków ekonomicznych i społecznych zmierzające do poprawy położenia klas pracujących i zapewnienia im społecznie niezbędnego bezpieczeństwa socjalnego” (Tamże s. 833).

nych w Europie nowożytnej, przeciw polityce naukowej, prowadzonej w Europie XX w. przez faszyzm i imperializm”, to też nie przypuszczamy, iżby zakładał, że kościół, rządy absolutystyczne, faszyzm i imperializm rozwijały jakąś dyscyplinę naukową nazywaną polityką naukową, lecz tylko, że wpływały one w pewien sposób na wydarzenia w dziedzinie nauki. Tak więc już sam projektodawca używania terminu „polityka naukowa” do oznaczania dyscypliny naukowej terminu tego używa wieloznacznie. Czy, gdy inni pójdą w jego ślady, nie wywoła to godnego ubolewania zamętu terminologicznego?

Druga wątpliwość dotyczy słuszności upatrywania dyscypliny naukowej w postulowanej przez prof. Suchodolskiego polityce naukowej.

Po to, żeby przedstawić tę wątpliwość, wróćmy do tych różnych polityk w podstawowym znaczeniu wyrazu „polityka”. Ich stosunek do nauki może być i bywa dwojaki. Po pierwsze, mogą one być przedmiotem nauki, tj. przedmiotem badań naukowych (historycznych, socjologicznych, psychologicznych, ekonomicznych, metodologicznych i in. — także kombinowanych, czyli międzydyscyplinowych). Po drugie, mogą być przez naukę, tj. przez osiągnięcia nauki (osiągnięcia historii, socjologii, psychologii, ekonomii, metodologii i in. dyscyplin, a także osiągnięcia badań kombinowanych, międzydyscyplinowych) współdeterminowane, w tym sensie, iż uprawiający te polityki ludzie kierują się wskazaniem nauki — m.in. tymi, do których nauka dochodzi badając same te polityki.

W wypadku, w którym ludzie uprawiający daną politykę kierują się wskazaniem nauki, a zwłaszcza jeśli specjalnie w tym celu dokonują badań naukowych, organizują je lub popierają, można by chyba tę naukę (tj. pewien jej fragment czy fragmenty) nazwać zapleczem, podstawą czy nawet elementem, składnikiem tej polityki; ale co innego element, składnik polityki, a co innego polityka sama, cała. Sądzę też, że tak uprawianą politykę można nazwać polityką unaukowioną; ale czy owo „unaukowiona” należałoby rozumieć jako „przemieniona w naukę”, czy tylko jako „posługująca się nauką” lub „oparta na nauce?”.

W takiej unaukowionej polityce, oprócz elementu naukowego można dostrzec jeszcze co najmniej dwa inne elementy o charakterze myślowym. Są to: program tej polityki (który też można nazwać jej ideologią) oraz jej strategia. Wszystkie te trzy elementy wzajemnie na siebie wpływają: element naukowy modyfikuje program polityczny (odkrywając potrzeby społeczne, z których mogą być wyprowadzone cele polityczne), modyfikuje on także strategię (wskazując na możliwości ulepszenia metod dochodzenia do założonych celów), a znowu program i strategia modyfikują element naukowy (wysuwając problemy naukowe, które powinny być opracowane — m.in. każąc badać potrzeby społeczne w danej dziedzinie i każąc badać sposoby ich zaspokojenia). Jednak to trójelementowe sprzężenie zwrotne programu politycznego (ideologii), strategii i obsługującej je nauki bynajmniej nie uniemożliwia rozróżnienia tych elementów. Wszystkie zaś one razem możnaby nazwać myślą polityczną — myślą danej polityki — która wszakże nie jest tożsama z całą tą polityką, gdyż ta obejmuje jeszcze tzw. praktykę. Polityka nieunaukowiona też ma swoją myśl, tylko że jest ona uboższa: składa się z programu i strategii, a brak w niej elementu naukowego.

Z przytoczonych powyżej sformułowań prof. Suchodolskiego można wnosić (aczkolwiek z niecałkowitą pewnością), iż postulowaną politykę naukową nie identyfikuje on ani z całą polityką naukową w podstawowym i potocznym znaczeniu tego terminu, ani tylko z jej elementem na-

ukowym (tym, który starałem się opisać powyżej), lecz z czymś pośrednim, tj. z ową myślą polityczną.

Otóż to! czy rozwijanie myśli politycznej — nawet odwołujące się do nauki i naukowo płodne — można i warto identyfikować z działalnością naukową, naukowo-badawczą? Czy nie korzystniej zarówno dla nauki jak i dla polityki byłoby rozróżnić te dwa, związane ze sobą typy działalności, a przez to ułatwić im nie tylko wzajemne oddziaływanie, ale i wzajemną kontrolę?

Trzecia wątpliwość dotyczy słuszności traktowania badań naukowych służących niejako bezpośrednio polityce w zakresie nauki (tej polityce w podstawowym i potocznym znaczeniu wyrazu „polityka”) jako samodzielnej, oddzielonej od naukoznawstwa, dyscyplinie naukowej i przeciwstawionej mu jako nauka tzw. praktyczna nauce tzw. teoretycznej.

Przeciwstawianie nauk teoretycznych praktycznym ma już bardzo długą, zaczynającą się od Arystotelesa, tradycję, a ostatnio znowu zaczyna się ono cieszyć większym wzięciem. Jednak przy tym przeciwstawianiu płaczą się niekiedy co najmniej dwie różne koncepcje nauk praktycznych.

Pierwsza — to koncepcja dyscypliny łączącej funkcje „normalnych”, „tradycyjnych” nauk, tj. funkcje poznawcze (w szerokim znaczeniu tego słowa) z funkcjami wartościująco-normatywnymi (takimi, jakie spełnia np. etyka normatywna lub deontologia lekarska), przy czym oceny i normy miałyby występować w charakterze uzasadnień tez naukowych tej dyscypliny. Koncepcję takiej dyscypliny naukowej uważam osobiście za chimerę (i nie jestem w tym odosobniony). Gdyby jednak zaakceptować tę koncepcję, to oddzielenie tak skonstruowanej polityki naukowej od naukoznawstwa byłoby jak najbardziej uzasadnione — już choćby ze względu na osobliwą strukturę metodologiczną tej dyscypliny. Tak więc dalsze moje uwagi nie odnoszą się do tej koncepcji.

Jest wszakże jeszcze druga koncepcja nauk praktycznych. Według niej nauki te odpowiadać mają nie na pytania „jakie co jest?”, „jak co się dzieje?”, na które odpowiadać mają nauki teoretyczne, lecz na pytania „jak co należy robić?”. Jednak nauki te swych instrukcji, traktowanych jako wskazania nauki, czy wręcz jako twierdzenia naukowe, nie uzasadniają ani ocenami ani normami, lecz jedynie twierdzeniami naukowymi. Nie mówią „należy postępować tak a tak, bo to a to jest dobre”, czy też, „bo skłania nas do tego powinność”, lecz mówią „skoro dążymy do takiego a takiego celu, to należy postępować tak a tak, bo dowiedziono, że postępowanie takie będzie najbardziej skuteczne, najsprawniej będzie nas wieść do celu”. Wybór celów nie jest już sprawą nauki (mimo iż nauka wpływa pośrednio — w sposób, o którym już wspomniałem — na dobór tych celów). Wybór ten jest z reguły sprawą ideologii i wobec tego ideologia odgrywa przemożną rolę w rozwoju nauk praktycznych kierując aktywność badaczy. Nie uzasadnia jednak ich twierdzeń.

Nie miejsce tu na generalne roztrząsanie tej koncepcji. Chciałbym jednak wyrazić pogląd, że każda w zasadzie (dojrzała) dyscyplina naukowa spełnia dwa (z grubsza biorąc) rodzaje zadań. Pierwszy — to zadania dyrektywne, które nazywane też bywają normatywnymi, drugi — to zadania opisowo-analityczno-nomologiczne, które można by też nawać poznawczymi (w węższym znaczeniu tego słowa). Pierwsze polegają na pouczeniu jak co należy robić (skoro robić chce się to właśnie). Drugie polegają na pouczeniu jakie co jest, jak co się dzieje. Np. funkcje

dyrektywne logiki polegają przede wszystkim na pouczeniu, jak należy rozumować, jeśli się chce, aby rozumowanie to było skuteczne, a funkcje poznawcze tej nauki polegają (między innymi) na pouczeniu jakie związki zachodzą między prawdziwością jednych twierdzeń a prawdziwością lub fałszywością pewnych innych twierdzeń. Wzajemne proporcje między funkcjami dyrektywnymi a funkcjami poznawczymi w poszczególnych dyscyplinach naukowych bywają oczywiście różne. Są więc nauki nastawione bardziej dyrektywnie, czyli praktycznie i są inne nastawione bardziej poznawczo, czyli teoretycznie. Np. w takiej parze: fizyka i nauki techniczne — fizyka nastawiona jest bardziej poznawczo, a nauki techniczne nastawione są bardziej dyrektywnie, chociaż fizyka (a nawet matematyka) spełnia także zadania dyrektywne, a nauki techniczne spełniają także zadania poznawcze (tj. opisowo-analityczno-nomologiczne). Przy tym funkcje obu rodzajów są ze sobą bardzo ściśle splecione — m.in. w tym sensie, iż spełnianie funkcji jednego z tych rodzajów jest warunkiem możliwości należytego spełniania funkcji pozostałych. Dlatego każdą dojrzałą dyscyplinę naukową można by rozpatrywać na podobieństwo organizmu o zróżnicowanych organach i zróżnicowanych funkcjach, a zamiar konstytuowania poszczególnych dyscyplin naukowych na zasadzie oddzielania funkcji poznawczych od funkcji dyrektywnych kojarzy mi się z odcinaniem korony drzewa od jego korzeni w nadziei, że każda część żyć będzie oddzielnie.

Tem większy sceptycyzm budzić musi taki podział w wypadku szeroko pojętego naukoznawstwa, który byłby przecież podziałem nie jednej zwartej dyscypliny naukowej, lecz równoległym podziałem wielu kierunków badań (socjologicznych, psychologicznych, ekonomicznych, metodologicznych, a może i historycznych) — każdego na dwie części. Przy tym każda z tych części nie tylko miałaby żyć dalej, lecz ponadto wszystkie części odpowiadające w powyższym porównaniu koronom miałyby z czasem zrósnać się w jeden organizm, a części odpowiadające korzeniom — w drugi. Czy nie są to złudne nadzieje? Czy nie należałoby raczej oczekiwać, że każdy z tych kalekich kawałków (na podobieństwo przepołowionych dżdżownic) dążyłby do zregenerowania we własnym zakresie kawałka brakującego?

Ponadto zaś, czy pierwszym praktycznym skutkiem takiego podzielenia szeroko pojętego naukoznawstwa na naukoznawstwo teoretyczne i na politykę naukową nie byłoby usankcjonowanie — z jednej strony — odrywania się naukoznawców od ważnych praktycznych problemów i bujania w obłokach pod pozorem rozwijania badań podstawowych — a z drugiej — lekceważenia przez polityków nauki (w obu znaczeniach tego terminu) obowiązku opierania swych konstrukcji myślowych na rzetelnych badaniach podstawowych?

Powyższe uwagi nie są bynajmniej próbą generalnego „rozprawienia się” z koncepcją prof. Suchodolskiego. Są one dokładnie tylko tym, za co podały się na wstępie, tj. wyrazem wątpliwości. Prof. Suchodolski występując ze swą koncepcją, podjął szereg ważkich problemów (których większości nie dotknąłem w moich uwagach) i zaproponował ich rozwiązanie nie tylko interesujące i pobudzające do dalszych przemyśleń, ale — kto wie — może mające przed sobą pewną przyszłość.

Niemniej na zakończenie pozwolę sobie pokrótce przeciwstawić koncepcji prof. Suchodolskiego inną koncepcję — której zresztą nie jestem twórcą, lecz tylko zwolennikiem. Jest to program umiarkowanego integrowania ogółu nauk o nauce — wraz z historią nauki i ewentualną

teorią polityki uprawianej w dziedzinie nauki — w jedną, dość zwartą, lecz jednak nadal kompleksową, dyscyplinę naukową. Głównym — lecz oczywiście nie jedynym — zadaniem tzw. praktycznym tej dyscypliny powinno być torowanie, prostowanie i oświetlanie dróg polityce uprawianej w dziedzinie nauki, tj. formułowanie dla niego wskazań, lecz także i ostrzeżeń. Polityki tej nie powinna jednak ani wyłączać, ani używać jej swego „naukowego tytułu”. Jej zaś usługi dla tej polityki powinny być oparte nie tylko na doraźnych studiach nad nią samą i na doraźnych ekspertyzach pomocniczych, lecz przede wszystkim na rzetelnym i dogłębnym badaniu ogółu różnorodnych zjawisk warunkujących rozwój nauki i przez ten rozwój warunkowanych. Nie wyklucza to zresztą powstania w ramach naukoznawstwa nowej dyscypliny naukowej (tj. badawczej) mającej specjalnie za przedmiot swych badań politykę naukową, czy może raczej pewne szczególne jej aspekty. Historia nauki, mimo uczestniczenia w różnorodnych badaniach kompleksowych, nie powinna się w nich „rozpuszczać”, całkowicie „rozmieniać na drobne”, lecz powinna (podobnie zresztą, jak niektóre inne jeszcze komponenty naukoznawstwa) zachować swą „indywidualność”, tj. specyficzną strukturę metodologiczną i własne specyficzne zadania, nie kończące się przecież na usługach w stosunku do badań obecnego rozwoju nauki.